CZWARTEK
Nr 110 15 IX 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ALARM dla strażaków

Fotoreportaż Marka Szymańskiego patrz str. 5

W ROGATYWKACH... DO SZKOŁY

KRAKÓW (PAP). 1 września br. uczniowie krakowskiego Liceum Ogólnokształcącego im. króla Jana III Sobieskiego witali nowy rok szkolny w granatowych czapkach-rogatywkach z zielonym otokiem, herbem Sobieskich i odznaką szkoły. Z propozycją noszenia takiego wyróżniającego nakrycia głowy wystąpili sami uczniowie. Rozumiemy ich dumę z powodu uczęszczania do jednej z najsłynniejszych szkół średnich w kraju.

Liceum Sobieskiego obchodzi w tym roku stulecie swego istnienia – tym uroczyściej, że jubileusz zbiega się z 300 rocznicą zwycięskiej bitwy pod Wiedniem stoczonej przez patrona szkoły. **(gr)**

Jeśli chcesz rozwijać swoje zainteresowania: artystyczne, sportowe, techniczne, przyrodnicze

WSTĄP DO JEDNEJ Z PRACOWNI WARSZAWSKIEGO PAŁACU MŁODZIEŻY

Przez cały ubiegły rok szkolny informowaliśmy Was o różnego rodzaju atrakcjach jakie warszawski Pałac Młodzieży proponował dziewczętom i chłopcom w wolne soboty. Ci, którzy w tych zajęciach uczestniczyli, mogli się przekonać, że w pałacu każdy znajdzie coś dla siebie, że naprawdę jest w czym wybierać.

Pałac Młodzieży przyjmuje do końca września br. zapisy do swych 71 pracowni, sekcji i kół zainteresowań na nowy rok szkolny 1983/84. Nie sposób wymienić wszystkich propozycji i stąd ograniczymy się tylko do niektórych. Najmłodszym, z klas I–III, proponujemy pracownie ogólnorozwojowe: majsterkowania, plastyki, rytmiki, gospodarstwa domowego itp. Starsi mają już znacznie większy wybór. W pracowniach artystycznych: teatr, taniec towarzyski, zespół gitar, akordeonów, wokalno-instrumentalny, malarstwo, grafika, tkactwo artystyczne, film, fotografia. Dla interesujących się techniką: auto-motoklub, szkutnictwo, krótkofalarstwo, modelarstwo. Na przyrodników czekają pracownie: biologii, zoologii, hydrobiologii, analiz chemicznych. W sekcjach sportowych można uprawiać pływanie, szermierkę, tenis stołowy, siatkówkę, gimnastykę artystyczną.

Przypominamy! Zapisy trwają do końca września w godz. 15–18. Szczegółowe informacje udzielane są pod telefonem: 200-211 wew. 26-68 w godz. 15–19. **(mj)**

14-letnia Ola laureatką w USA

GDAŃSK (PAP). Na międzynarodowym obozie młodych muzyków zorganizowanym w sierpniu w National Music Camp Interlochen Michigan w Stanach Zjednoczonych pierwsze miejsce w konkursie na wykonanie koncertu skrzypcowego przyznano Polce, **Aleksandrze Januszajtis** z Gdańska. Wykonała ona Koncert skrzypcowy d-moll Henryka Wieniawskiego. 14-letnia gdańszczanka, której profesorem jest mgr Jerzy Hazuk, ma już na swym koncie szereg nagród i wyróżnień krajowych. **(gr)**

PREZENTUJEMY – NASZE NAJMŁODSZE

(CAF). Szkoła Podstawowa nr 4 im. Wojsk Ochrony Pogranicza w Kostrzynie nad Odrą (woj. gorzowskie) powstała dzięki społecznej pracy mieszkańców miasta i pomocy żołnierzy Lubuskiej Brygady WOP. Uczęszcza do niej już drugi rok ponad 800 dzieci, które uczą się w doskonale wyposażonych klasach i pracowniach specjalistycznych. Prace budowlane trwają nadal i placówka ta rozrasta się przy współudziale żołnierzy. W ostatnich dniach oddany został do użytku blok żywieniowy z pełnym zapleczem kuchennym i magazynami. W pracach specjalistycznych uczestniczyły grupy budowlane kostrzyńskich zakładów pracy. Niebawem żołnierze przystąpią do wznoszenia nowej inwestycji – pełnowymiarowej hali sportowej z amfiteatralną widownią.

(dr)

Fot. CAF – Ryszard Janowski

NIE TYLKO DLA FOTOAMATORÓW

(CAF). Oto liść pelargonii sfotografowany metodą tradycyjną (u góry) i tzw. techniką Kirlianowską (u dołu). Metoda ta polega na uzyskiwaniu obrazu przez umieszczenie przedmiotu bezpośrednio na emulsji błony fotograficznej w polu wysokiej częstotliwości. Zdjęcie takie pokazuje niewidoczną w normalnych warunkach aurę otaczającą żywą materię.

W ostatnich latach stała się ona przedmiotem intensywnych badań naukowców m.in. w Krasnodarze (ZSRR), gdzie istnieje Instytut Kirlianowski. **(dr)**

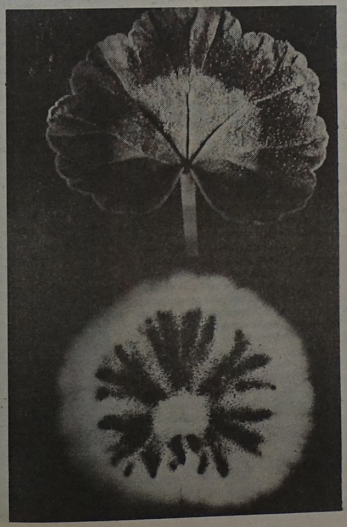

Fot. CAF-Camera

Zapoczątkowały go gdyńskie harcerki

W Redłowie w pobliżu morza usytuowany jest Cmentarz Obrońców Gdyni. Znajdują się tam groby żołnierzy z 1939 roku i poległych w walce o jej wyzwolenie w roku 1945. Mało kto wie, że początek temu cmentarzowi dały przed czterdziestuczterema laty gdyńskie harcerki.

One to po oksywskiej bitwie, mimo zakazu Niemców, ubrane w granatowe spódniczki i w białe bluzeczki, ze znakiem czerwonego krzyża na rękawach, niosły pomoc rannym na Oksywiu żołnierzom, których niemieccy sanitariusze nie opatrywali. One zbierały poległych. W dniu 24 września zostały przez Niemców dotkliwie pobite i wypędzone z Oksywia. Z wozem pełnym żołnierskich trupów powędrowały na cmentarz w Witominie, ale tam ich nie wpuszczono. Udały się więc do Redłowa i tam pochowały poległych. **(wm)**

RUSZA TEATR RZECZYPOSPOLITEJ

KRAKÓW (PAP). Spektaklem inaugurującym pierwszy sezon Teatru Rzeczypospolitej w Warszawie będzie „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego, przygotowane przed 9 laty przez zespół Teatru Starego im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie w reżyserii Konrada Świnarskiego. Spektakl ten przeszedł już do historii teatru polskiego jako wybitne dzieło tragicznie zmarłego reżysera. Obejrzało go do tej pory ok. 100 tysięcy widzów podczas 177 przedstawień. „Wyzwolenie" grane było także w kilku krajach Europy i otrzymało wiele nagród i wyróżnień. Scenografię opracował Kazimierz Wiśniak, muzykę skomponował Zygmunt Konieczny, występują m.in. Anna Polony i Jerzy Trela. **(gr)**

Kontynuujemy rozpoczętą przed tygodniem prezentację artykułów z „TROPICIELA" – gazety polowej tegorocznej Centralnej Akcji Szkoleniowej ZHP. Przypominamy, że ich autorami są korespondenci HSI „Świata Młodych". W swych informacjach, wywiadach, reportażach próbowali oni przedstawić rzeczywistość, a więc to co faktycznie na akcji się działo. Nie znajdziecie w tych materiałach jakichś wyraźnych ocen CAS-u. Na to, sądzimy, będzie czas teraz i w najbliższym okresie, kiedy to jego uczestnicy podejmą samodzielną pracę w drużynach, sprawdzą na ile wiedza i umiejętności z obozów wyniesione będą przydatne w codziennym działaniu.

HARCERZ też człowiek, ale...

Kucharka: – Nie wiem czemu, ale jakoś tego Kuby nie lubię. On zawsze taki obdarty, w czarnych spodenkach...

Wartownik: – Właściwie wszyscy chcemy tu się czegoś nauczyć. Przez pracę właśnie, tak zaplanowaliśmy sobie na biwaku przedobozowym. Atmosfera? Właściwie dobra. Są czasem zatargi... w ostatnim namiocie śpią tacy dwaj. Przyjechali chyba, żeby wypocząć – mówi z nutką ironii w głosie.

– Komendant: – Mamy wspaniałą kadrę – instruktorzy starej daty i młodzi zastępowi. To nam się udało...

Oprowadza mnie po obozie, pokazuje warsztat ciesielski, kozły do obróbki bali, latryny, oczyszczalnię ścieków.

– Wszystko łączone na kołki. Ani jednego gwoździa! Pionierka to mój „konik". Chcę, żeby przyszli drużynowi mogli zaimponować młodszym swoimi umiejętnościami, a to można jedynie osiągnąć przez pracę. Robimy chyba wszystko – pokazuje garnek pełen szarej, świeżej gliny.

– Z tego będziemy lepić garnki. Co prawda, nie wszyscy chcą się czegoś nauczyć – wskazuje dyskretnie na niskiego chłopaka.

– O, ten na przykład. Jest takich dwóch. Chodzi to takie w słynnym „moro", z długimi włosami. Już mówiłem, żeby zrobili z tym porządek, ale jak się zdenerwuję, to wezmę, przytrzymam i sam obetnę...

Na małej polanie, gdzie ustawiono kuchnię – niemiłosiernie upał. Z paleniska bucha żar i gryzący dym – gotują obiad. Zastęp służbowy rusza się leniwie, chociaż pracy niemało.

– Kuba! – Do instruktora podchodzi wezwany 16-latek.

– Gdzie jest Koper, do licha!

– Nie wiem... – mruczy pod nosem – chyba śpi.

– Idź natychmiast! Zbudź go, trzeba rozpalić ogień w drugim piecu!

– Taki upał? Jeszcze raz wracać do obozu...

– Powiedziałem!

Kuba i Koper mówią, że na obozie nie ma dobrej atmosfery. Dlaczego? Powiedzą mi, ale nie tutaj.

Idziemy ścieżką wzdłuż brzegu jeziora. Wreszcie zatrzymujemy się przy niedużym pomoście. Koper już od dłuższego czasu szuka czegoś bezskutecznie po kieszeniach.

– Masz kotki? – pyta w końcu niecierpliwie.

Kuba podaje mu pudełko zapałek.

– Zapalisz? – podsuwa mi pogniecioną paczkę „popularnych".

– Harcerz... – mówię zaskoczony.

– Ach, tak... w mundurze... zapomniałem.

– Nie o to chodzi – próbuję perswadować – przecież Prawo obowiązuje zawsze...

– Prawo! Prawo! – mruczy Kuba – a harcerz to nie człowiek? Owszem, w mundurze nie palę, ale tak?

– Obóz na was narzeka. Mówią, że przyjechaliście wypocząć...

– Słuchaj! – wyjaśnia Kuba – prowadzę drużynę, w przyszłym roku mam być obożnym, chcę się czegoś nauczyć, ale człowieku – spluwa na piasek i zaciąga się papierosem – tu się od rana do wieczora pracuje! Rozumiesz?! Pobudka, apel, praca, siusiu, paciorek i spać... i od rana znowu: pobudka – praca...

– Na dodatek bezsensowna – dodaje Koper. – Na przykład dzisiaj, przychodzi zastępowy i mówi: tu masz grabie, wygrab trawę za namiotem. A ja na to: nie zrobię! Człowieku! W lesie? Las mam grabić? A z zastępowym to jest tak. Wrzeszczą, rozkazują ciągle. Żebyśmy ich chociaż sami wybierali.

Wartownik: – Oni dwaj nikogo tu nie znali. Na biwaku przed CAS-em był tylko Kuba. No, to jak mogli wybierać? A zastępowych wybraliśmy na kwaterce, bo poznaliśmy się i wybraliśmy najlepszych.

Kuba i Koper: – A to, że pracowali jak dzikie osły na kwaterce, to jeszcze o niczym nie świadczy. My tu też robiliśmy umywalnię i co...?

– Kiedyś obożny dorwał Kopra z papierosami, to wyzwał go od gówniarzy. W ogóle tu jest nudno – narzeka Kuba. – U mnie w „budowlance" zbyt ciekawie się nie żyje, to, myślałem sobie, pojadę na obóz. Zgoda – nauczyć się czegoś, ale i odpocząć! A tu nic – cały czas łazimy za komendantem, robimy tratwy, gwizdki z kory, pieczątki z linoleum. Nie było jeszcze żadnego nocnego wypadu, alarmu. W końcu to jest obóz harcerski, przygoda. Kiedyś to było harcerstwo – mówi z żalem Koper – przed wojną...

– No właśnie! Przecież macie na obozie przedwojennych harcerzy...

– Mamy, mamy... ale co z tego. Taki druh Badetko chodzi tylko, zbiera korzenie i robi te swoje ptaki. Potem wszyscy wychwalają, że piękne zbodnictwo.

Robert – członek zastępu: – Mnie się tu bardzo podoba. „Zachorowałem" na harcerstwo. Komendant, kadra... Wspaniali! Druh komendant uczy nas wszystkiego. On naprawdę dużo umie – mówi z przekonaniem. – Na ciszy można do niego przyjść i pogadać... Tak, bardzo mi się tu podoba.

Koper: – Czy ja wiem? Oni nas jednak nie rozumieją.

Nie opodal brzegu, skrzecząc głośno i trzepocząc skrzydłami, poderwał się w powietrze biały łabędź. Kuba zapatrzył się w niego z rozmarzeniem.

– A może to my ich nie rozumiemy?

WITOLD GAŁĄKA

O radzie obozu słów kilka

Jedną z najsłabszych stron naszych drużyn jest funkcjonowanie rady. Przeważnie liczy się tylko drużynowy, a cała reszta jest mu bezwzględnie posłuszna. Druga możliwość to taka, że drużynowy nie ma nic do powiedzenia.

Podobna sytuacja istnieje na obozach. Znów albo komenda „dyktuje warunki" albo jest wielki bałagan. Sam byłem uczestnikiem ośmiu obozów i na żadnym rada nie funkcjonowała jak należy. Widziałem parę dziesiątków innych, gdzie było podobnie. Albo fikcja albo parodia.

– I już myślałem, że chyba dam sobie spokój z tymi poszukiwaniami... Na szczęście nie jest tak źle w naszym harcerstwie. Stara zasada, że wszyscy decydują, pracują i odpowiadają jest jeszcze kultywowana. Wydaje mi się, że znalazłem taką prawdziwą radę. CAS – obóz Chorągwi Wrocławskiej. W skład rady wchodzą zastępowi i po jednym szeregowym z zastępu. W sumie 14 osób. Nikt więcej. Ani komendant, ani oboźny. Podczas posiedzeń rady kadra ma czas wolny. Dogląda tylko pozostałych harcerzy.

Rada decyduje o wszelkich ważniejszych zajęciach, grach czy wędrówkach. Decyduje i opracowuje. Gdy ma kłopoty z podjęciem decyzji, zaprasza kogoś z kadry. Komenda jest zobowiązana zapoznać oczywiście radę ze swoimi planami. W wypadku niezaakceptowania jakiegoś pomysłu, kadrze pozostaje tylko długa i ciężka droga tłumaczenia swych racji.

Ale rada wcale nie jest nieugięta. Przecież zastępowi zostali wybrani jako najlepsi z zastępów, a pozostali także mają głowy nie od parady. Jeśli więc propozycja kadry jest interesująca, przekonać ich nietrudno. A że i w kadrze są wspaniali instruktorzy, to wszyscy razem znakomicie dogadują się.

Byłem na jednej zbiórce rady, kiedy omawiali program jednodniowej wędrówki. Wielu dorosłych nie potrafi tak świetnie rozmawiać jak oni. Jedni drugim tłumaczą, uspokajają. Atmosfera znakomita. Jedno spotkanie, jakie zobaczyłem, to bardzo mało, ale i uczestnicy, i kadra mówią o radzie dobrze. Sądzę, że jedni i drudzy obdarzyli się sporym zaufaniem.

Dzięki tej wizycie zobaczyłem to, czego szukam już kilka lat. Przeczytałem o tym kilka książek i wiele pism harcerskich, lecz nigdy nie widziałem tego w praktyce. A w obozie wrocławskim jest to codzienność, rzecz normalna.

Jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości i wizja rady na jego obozie, w jego drużynie nie daje mu spać, niech czym prędzej zapyta wrocławian jak oni to robią. A są bardzo mili i gościnni, więc odpowiedzi nie odmówią.

Piotrek

ORLE GNIAZDO

Przenosimy się w czasy króla Kazimierza Wielkiego. Gości u nas Harcersko-Rycerska Drużyna Herbu Orlego Gniazda. Historyczne nazwy mylą się ze współczesnymi. Trzeba iście kanclerskiej głowy, aby to wszystko spamiętać. Podejmuje nas w sali rycerskiej Jego Miłość, czyli komendant obozu. W tym czasie pod wodzą hetmana – obożnego wszystkie kopie – zastępy ruszają w teren ćwiczyć się w harcerskim rzemiośle. W sali rycerskiej miejsca według ważności. Pośrodku wspaniały tron z herbem drużyny – orłem. Z prawej strony miejsce kanclerza, a z lewej hetmana. Obok nich miejsca dowódców kopii i członków rodów. Kopie są trzynastoosobowe i każda z nich oparta jest na systemie trójkowym. Jeszcze przed CAS-em każda kopia wybrała sobie za siedzibę zamek w Jurze i poznała dokładnie ród onegdaj w nim zamieszkujący.

Każdy ród, jak wiadomo, miał swój herb noszony na tarczy. Zaś każda kopia zdobywa prawo do noszenia na proporcu obranego herbu. Do tego napisano specjalne regulaminy. Ich zawartość jest największą tajemnicą kopii. Mają one także swoje kroniki i dzienniczki, gdzie prowadzą zapiski z życia obozowego. Nieuniknione wydają się potyczki i turnieje między kopiami. Toć w rycerskim żyją grodzie.

W sali rycerskiej dano nam do oderzenia kronikę drużyny i Wielką Pieczęć. Kronika wygląda jak z XIII wieku, a nie omieszkaliśmy uprosić o odbitki pieczęci (patrz wyżej). Ma wielką wagę – podbijane są nią wszystkie decyzje rady obozu. Zrobili ją sami członkowie rodów, a każda literka została wycięta z gumy i osobno naklejona. Sami zrobili też miecz Jego Miłości i buławę dla hetmana. Na tych, co złamią przysięgę rycerską lub zdradzą, czeka pień i topór katowski.

Jednak w Orlim Gnieździe mieszka lud gościnny. Poczęstowano nas kielichem miodu, czyli kubkiem zsiadłego mleka zmieszanego z dżemem. Po tym rozmowa potoczyła się dużo żywiej. Dowiedzieliśmy się, że wszystkie funkcje obozowe mają swoje średniowieczne nazwy, na przykład zastępca programowy – kanclerz, ratownik – wielki łowczy.

Przed obozem drużyna miała dwa trzydniowe spotkania, na których bardzo solidnie pracowali. Pomysł przeniesienia się w XIII wiek wyszedł od komendy. Przyjęto go z entuzjazmem i resztę prac wykonali już sami harcerze. Przekopali biblioteki, ba, jechali nawet do Krakowa, aby ujrzeć nagrobek Kazimierza Wielkiego. Zrobili wszystko, mimo iż rozsiani byli po całym województwie. Podczas tych spotkań dostali nieźle w kość. Wielu odpadło i w Orlim Gnieździe znaleźli się tylko najlepsi, najbardziej wytrwali. Ci pasowani zostali na rycerzy.

Piotrek

Tron Jego Miłości

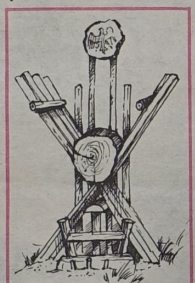

O TRADYCJACH I OBRZĘDOWOŚCI

Warsztaty zlokalizowane w stanicy CAS'83 w Czechyniu zajmują się tradycją i obrzędowością harcerską. Rozmawiamy z ich komendantem, hm PL Stefanem Wójtkiewiczem.

– Proszę przedstawić czytelnikom „Tropiciela" charakter waszej na CAS-ie pracy.

– Jesteśmy najmniejszym tu warsztatem. Mimo to zwiedziliśmy już 37 obozów. Celem naszych wizyt było przede wszystkim obejrzenie, a następnie opisanie najciekawszych obrzędów, a ponadto inspirowanie obozów, które dotychczas nie wypracowały własnych zwyczajów.

– Co zatem proponowaliście?

– W wydanych już przez nas kilku biuletynach harcerze mogą znaleźć scenariusze np. Przyrzeczenia Harcerskiego, „zielonego" dnia na obozie, obrzęd podsumowania dnia. Poza tym nasi instruktorzy w bezpośrednich spotkaniach przekazywali swoje opinie o zwyczajach poszczególnych obozów, prowadzili na ten temat dyskusje z uczestnikami.

– Z pewnością w czasie wędrówek zauważyliście duże zróżnicowanie między obozami.

– Tak. Do obozów, które – naszym zdaniem – przodują należą: Rzeszów, Częstochowa, Skierniewice, Poznań, Piotrków Trybunalski, Olsztyn. Praktykują one obrzędy dawno wypracowane w swoich środowiskach. Nieco słabsze pod tym względem są obozy z Ostrołęki, Elbląga, Konina, Jeleniej Góry, Warszawy. Na ostateczną jednak ocenę trzeba poczekać do końca CAS-u.

– Z jakim obrzędem spotkał się Druh po raz pierwszy?

– Niestety, szczególnie interesujących, nowych obrzędów nie widzieliśmy. Zauważyliśmy dobre i piękne elementy obrzędu związanego z ogniem. Na przykład w Pile, w kręgu ogniskowym harcerze przy piosence „Płonie ognisko i szumią knieje..." zdejmują z głów rogatywki i kładą je lilijkami w kierunku ognia. Teraz ja zadam druhnie pytanie: czy druhna uważa, że drużyna zdradzi przed innymi wszystkie swoje tajemnice? Nie każde środowisko chce, aby obrzędy, tradycje specyficzne tylko dla nich, były powielane na prawo i lewo.

– Będąc w obozie opolskich harcerzy spotkałam się z otwartym kręgiem. Oni sami nie potrafili mi wytłumaczyć symboliki tego obyczaju. Może Druh?

– Tak, ja też zwróciłem na to uwagę. Motywacja jest prosta, a za odpowiedź niech posłużą słowa piosenki:

„Zwyczaj to stary jak świat
Ogień, ogień, ogień
Rozpalmy blisko nas
ogień, ogień, ogień.
Dla spóźnionego wędrowca
Dla wszystkich spóźnionych w noc
Rozpalmy tu, rozpalmy tu
Ogień, ogień, ogień".

Krąg jest otwarty właśnie dla spóźnionych. Jest to znak, że każdy może do niego wstąpić, jeżeli przyjmie obowiązujące w drużynie zasady za swoje.

– Wracając do obrzędów na obozach, w czym ciekawym uczestniczyliście?

– W Gdańsku, Szczecinie, Słupsku były Neptunalia. W Piotrkowie pasowanie na obozowicza. W Olsztynie – Grunwaldzkie Wici. Ciechanów miał uczty na Olimpie, Szczecin – bitwę morską. W Rzeszowie odbył się jarmark kulturalny. Wszystko to będzie opisane przez nas i wydane w kolejnych biuletynach.

– A jakie zwyczaje powinno się zdaniem Druha wyeliminować?

– W Ostrołęce spotkałem się z budowaniem totemów, tzw. nagrobków, malowaniem totemów pastą do zębów. To naprawdę nie jest w harcerskim stylu. Jestem też przeciwny stosowaniu kar trzech menażek. Nie powinno się też organizować nocnych podchodów bez wcześniejszego ustalenia warunków między obozami.

– Jest Druh doświadczonym harcerzem, który wiele widział i przeżył. Proszę powiedzieć, jakie stosowano obrzędy za młodzieńczych czasów Druha, a które obecnie zanikły.

– Nie chcę mówić „za moich czasów", bo i teraz są jeszcze moje czasy, ale powiem tak. Dawniej nie było na przykład dnia „białki" (obozowego dnia harcerek), konkursów, których jest teraz bez liku – konkurs o totem, proporzec, sportowy, piosenki itd. Nie było wówczas dnia beniaminka i weterana, harcerskiego sposobu na nudę – bo nikt się nie nudził. Jakie tradycje zanikły? Zanikła tradycja puszczańskiego życia, nieużywania gwoździ w urządzeniach pionierskich, nie ma już zwyczaju robienia przynajmniej raz dziennie dobrego uczynku. Była to piękna i wychowawcza tradycja, ponieważ uczyła życzliwości i braterstwa.

– Czy zebrane przez was materiały drukowane w biuletynach doczekają się szerszego upowszechnienia?

– Tak. Po CAS-ie powstanie podręcznik sumujący dorobek pracy wszystkich trzech warsztatów: Tradycje i obrzędowość harcerska, Harcerskie obozownictwo oraz Współczesność i harcerska służba.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Joanna Korzeniewska

REDAKCYJNA POCZTA

Rower

Chcę Wam opowiedzieć pewną historyjkę; przez nią znalazłam się w trudnej sytuacji. Rok temu, kiedy miałam 12 lat, poznałam Tomka. Mój chłopak – Daniel i ja zaprzyjaźniliśmy się z Tomkiem. Spędzaliśmy we trójkę wolne chwile. Ale ktoś przeszkodził naszej przyjaźni. Była to moja koleżanka z klasy Aneta, której nie lubiłam. Aneta spodobała się Tomkowi i ponoć zaczęli spotykać się ze sobą. Ze strony Tomka była to zdrada naszej przyjaźni, bo zapewniał mnie i Daniela, że się nigdy nie rozstaniemy. Napisałam do niego anonim z wyrzutami, on nie chcąc być dłużny zrobił mi paskudny kawał. W dniu moich urodzin zabrał mi rower i oblepił go nalepkami w rodzaju: „Żaneta jest świnia", „Żaneta jest paskudna".

Kiedy odkleiłam papierki, z rozpaczą spostrzegłam, że zostały po nich ślady – zeszła farba. Rower, który dostałam właśnie na urodziny wyglądał jak stary. Byłam wściekła na Tomka. Bałam się taty, który gdyby się dowiedział, że mój rower jest w takim stanie, zbiłby mnie. Dlatego nic w domu nie powiedziałam. Ale zrobił to za mnie mój „drogi" koleżą, Tomek; napisał list do mojego taty, w którym opisał jak wyglądał mój nowy rower. Całą winą za zniszczenie obarczył mnie. Napisał, że jeździłam po kamieniach. Kiedy tata to przeczytał, wpadł w straszną złość, że ja go nie słuchałam i zniszczyłam rower. Wyznaczył mi karę na wakacje. Nie pojechałam z rodzicami na wczasy do Bułgarii. Zostałam u ciotki. Rodzice zmienili mi szkołę. Nie pojechałam na kolonie. Próbowałam wytłumaczyć wszystko rodzicom, ale na nic. Co mam robić? Czy sądzicie, że Tomek postąpił ładnie?

Żaneta

OD REDAKCJI: Żaneto! Bardzo nam przykro, ale musimy Ci powiedzieć, że jesteś współwinną tej niemiłej sytuacji. Sądzimy bowiem, że gdybyś nie wysłała anonimu do Tomka, nie zdarzyłaby się ta historia. Jeśli miałaś do niego pretensje, trzeba było o tym z nim porozmawiać, a nie w taki niekoleżeński i nietaktowny sposób robić mu wyrzuty. Tomek rzeczywiście nie jest w porządku. Naraził Twoich rodziców na straty – zniszczył nowy rower. Poza tym niesłusznie oskarżył Cię przed tatą. Taki donos bardzo źle świadczy o charakterze Tomka. Proponujemy, żebyś porozmawiała z rodzicami Tomka. Chłopiec musi zrozumieć, że jego żart naraził Cię aż na taką karę, naszym zdaniem za dużą. Tato okazał się zanadto niewyrozumiały, wystarczyłaby jedna kara. (jt)

Stracona przyjaciółka?

Chodzę do klasy VIII. Moja najlepsza koleżanka, z którą przyjaźnię się już od 5 lat, bardzo się zmieniła. Była miła, spokojna i grzeczna. Niedawno wpadła w złe towarzystwo, zaczęła pić i używać wulgarnych wyrazów. Ja bardzo tego nie lubię. Obrażiła się na mnie, gdyż poczęstowała mnie papierosem, a ja odmówiłam. Proszę, wydrukujcie mój list. Ona go przeczyta, gdyż ciągle czyta „Redakcyjną Pocztę". Może się poprawi i znów będziemy się przyjaźnić. Tak jak to było dawniej.

Gosia pełna nadziei

Załatwić z samym sobą

INWAZJA TROGLODYTÓW

W tramwaju luźno. Zapchany w godzinach szczytu jest jakby kroplą koncentratu społecznego, w którym po odparowaniu wody podstawowy smak nabiera ostrej wyrazistości. Smak tej tramwajowej kropli to niepowściągana irytacja, skwaplwa kłotliwość, nie tajona niechęć do bliźniego, brutalna albo podjazdowa walka o siedzące miejsce lub wygodny kącik dla siebie. Jeśli ktoś komuś ustąpi miejsca, weźmie na kolana czyjąś ciężką torbę z zakupami, ten gest wydaje się jakoś przerysowany – dziwaczna pozostałość epoki przedlodowcowej.

Ale teraz w tramwaju nie ma tłoku, koncentrat jest rozrzedzony, ludzie rozluźnieni. Wszystkie miejsca co prawda zajęte, lecz tylko kilka osób stoi. Jakaś młoda kobieta podnosi się by przesunąć się do wyjścia.

– No, wstała wreszcie. Rozsiadła się, rozwaliła jak krowa i nic ją inni nie obchodzą – zażywny mężczyzna pod sześćdziesiątkę rozwija z rosnącym zapałem soczysty zestaw pretensji.

Dziewczyna speszona przeprasza, tłumaczy się, że nie zauważyła, że poza tym zażywny nie wygląda ani na starca, ani na chorego, ani zmęczonego, że gdyby poprosił..., ale zostaje zagłuszona kolejnym atakiem.

– Proszę pana – mówi wreszcie wracając do jakiej takiej równowagi – poza wszystkim, kultury trzeba uczyć w sposób kulturalny.

– Ty smarkata! – wrzasnął rozwścieczony zażywny. – Nie będziesz mnie pouczać... – resztę monologu mogę co najwyżej wykropkować.

Tramwaj zatrzymał się. Dziewczyna wysiadła. Zapadło milczenie. Otworzyłam usta i jakoś same mi się zamknęły, zanim zdążyłam coś powiedzieć. I w tym samym momencie poczułam jak cisza wypełniająca wagon gęstnieje od mojego milczenia. Sprawia mi pewne zadowolenie myśl, że człowiek nie może sam sobie spojrzeć w oczy. Oglądam ukradkiem zażywnego. Gdzie się podziała jego złość? Tchnie zwycięstwem. Patrzę na jego twarz i niespodzianie wpycha mi się w świadomość obraz, na którym czoło tej twarzy osłania daszek harcerskiej rogatywki...

To absurdalne skojarzenie irytuje. Chcę je odpędzić, ale jest uparte. Wypełzło z listu, który dziś dostałam. Oto on z niewielkimi skrótami:

(...) Mam kilkunastoletniego syna. Wzorowy uczeń, zdyscyplinowany, grzeczny, wrażliwy na krzywdę innych. Wychowywałam go w myśl zasady „Żyj tak, żeby innym było z tobą dobrze". Nie miałam z nim nigdy żadnych kłopotów wychowawczych.

W tym roku syn pojechał na harcerski obóz. I co się okazało? Że się nie nadaje. Pomyśli Pani zapewne, że nie był samodzielny, nie umiał żyć bez rodziców. Nic podobnego. Nie umiał tylko dostosować się do chamstwa jakie panowało na obozie harcerskim.

Na porządku dziennym były sytuacje, gdy część kadry w sposób wyjątkowo wulgarny zwracała się do swoich harcerzy, wśród młodzieży liczył się tylko ten, kto umiał dobrze bić. Oczywiście młodszego i słabszego od siebie. Nie było mowy o przestrzeganiu bodaj elementarnych zasad higieny. Swoje potrzeby fizjologiczne załatwiano w przyległych do obozu krzaczkach (gdzie komu było wygodnie i fetor zbytnio nie dokuczał), a talerze i kubki myto w wodzie, w której tuż obok moczyli się wczasowicze. Syn, gdy opłukał kubek (przed użyciem) w czystej wodzie, którą dowożono do przygotowywania posiłków, został zwymyślany przez druhnę opiekunkę.

Przyznam się szczerze, że absolutnie nie rozumiem takich metod wychowawczych. W szkole poświęca się niejedną godzinę, żeby wpoić dzieciakowi znajomość zasad higieny. Organizuje kąciki czystości, sprawdza się tę czystość. W domu także stara się utrwalić takie nawyki, jak zawsze czyste ręce, czysty talerz czy zęby. A gdy dzieciak siłą przyzwyczajenia chce pić kawę w czystym kubku – wymyśla mu się.

Czy nie byłoby słuszne, gdyby taka druhna powiedziała np. „... uważasz, że kubki są brudne? to weź wiaderko i przynieś wody z wodociągu dla siebie i dla kolegów". (...)

Jeszcze jedna sprawa. To kompletny brak koleżeństwa, wzajemnej sympatii. W obozie panowało wilcze prawo. Dosłownie. Jak się komuś chciało jeść, to wydzierał drugiemu. Wydarł albo ukradł. I co dziwniejsze takie postępowanie nie spotykało się bynajmniej z potępieniem. Odbierając syna po 6 dniach z obozu musiałam wysłuchać wielu przykrych uwag komendanta. Nie pod adresem syna. Pod swoim. Że postępuję nieodpowiedzialnie, że niepotrzebnie zajętam miejsce innemu dziecku, że państwo ponosi duże koszty związane z pobytem dziecka na obozie. To prawda i ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Tylko mam jedną uwagę. Skoro pobyt na obozie jest tak kosztowny (a wiem, że jest), to czy nie należałoby przede wszystkim zwrócić uwagi na dobór kadry? Bo ostatecznie dziecko kłamać, kląć, bić słabszych, kraść mogłoby się nauczyć w domu. Czy konieczne musi jechać na obóz, żeby zdobyć czy pogłębić te „umiejętności"?

Komendant na pożegnanie powiedział mi, że syn na przyszły rok na obóz nie pojedzie. Za karę, że nie był do końca. Ale nie ma obawy, bo syn na obóz pojedzie dopiero wtedy, gdy go nauczę przeklinać, bić, kłamać, kraść jedzenie głodniejszemu od siebie. Po prostu będę go wychowywać w myśl innej zasady, a mianowicie „Żyj tak, żeby tobie było dobrze". Obojętnie czyim kosztem. Wtedy na obozie na pewno będzie mu dobrze.

Przed ponad ćwierć wiekiem też byłam harcerką. I z tego okresu pochodzą moje najpiękniejsze wspomnienia, przyjaźnie zachowane do dziś. Choć moje harcerstwo było skromne, ot, zbiórki, wycieczki, wzajemna pomoc i koleżeństwo, pozamiatane podwórko u samotnej babci. Mimo to uważałam harcerstwo za coś wspaniałego, rozbudzającego i rozwijającego uczucia i odruchy szlachetne, chęć niesienia pomocy innym, bez względu na cenę jaką trzeba ponieść. W tym duchu i szacunku dla harcerstwa wychowałam syna. I okazuje się, że wychowałam źle.

Próbowałam syna przekonać, że taki obóz to wyjątek, że naprawdę harcerstwo to coś wspaniałego. W odpowiedzi usłyszałam: nie chcę mieć z tym dziadostwem nic wspólnego. (...)

Nie oczekuję od Pani rady czy pomocy. To muszę załatwić sama. Tylko jest mi jakoś tak ciężko. Nie mogę pogodzić się z myślą, że mogą być takie obozy i takie sytuacje, niejako udowadniające naocznie, że harcerstwo jest całkowitym zaprzeczeniem tego czym być powinno i czym się mieni. Wiem, że nie wolno uogólniać, że to wyjątek. Ale czy na pewno wyjątek? I jak przekonać syna, że to wyjątek?

(...) No cóż, będę już kończyć i jeśli można prosić, to bardzo proszę być nieco ostrożniejszym z tym przemyślaniem samym ze sobą, bo może się zdarzyć, że niektórzy potraktują to serio, zastosują się do tego i wtedy okaże się, że się nie nadają. Są inni. (...)

Matka

Z zasady nie wykorzystujemy do druku anonimów. Anonimowi autorzy piszą prawie zawsze po to, żeby za osłony pseudonimu bezpiecznie wyciągnąć palec i pokazać kogoś, kogo ich zdaniem należy ukarać, potępić, napiętnować. Ten list też nie jest podpisany nazwiskiem, ale jego autorka nie wyciąga karzącego palca, nie podaje danych pozwalających zidentyfikować twórców opisywanej przez nią obozowej atmosfery wychowawczej unoszącej się trującym oparem nad kwitnącym bujnie chamstwem, brutalnością, prymitywizmem. Poczta, jakby chciała pomóc w zatarciu wszelkich śladów, tak niedbale podstemplowała kopertę, że nie sposób odczytać nazwy miasta.

Nadawczyni listu przedstawia swój własny problem. Czy ma prawo przekazywać synowi swój kodeks moralny, skoro chłopiec posługując się nim dostaje cięgi od życia. Co prawda zebrał te przykre doświadczenia na karykaturalnie wykoślawionym, ale przecież realnie istniejącym obozie harcerskim.

Nie mając żadnego adresu, nie możemy interweniować w opisanej przez autorkę listu sprawie. A szkoda, może niepowetowana, bo bezkarne chamstwo, prawo pięści i zwycięski prymitywizm zakorzeniają się głęboko, pączkują i... stają się zarazliwe. Szczególnie, jeśli emanują z ludzi, którzy powinni być ich naturalnymi wrogami: z nauczyciela, wychowawcy, instruktora harcerskiego, milicjanta. Chamski nauczyciel, demoralizujący swym przykładem dzieci – powinien przestać być nauczycielem. Brutalny instruktor przynoszący złą sławę ZHP i wykoślawiający charaktery powierzonej mu młodzieży – powinien przestać być harcerzem. Nadużywający swej władzy milicjant, nadwerężający wiarę w praworządność – powinien przestać być milicjantem.

I dlatego, proszę Pani, ta sprawa nie jest problemem do załatwienia z samym sobą, ale przede wszystkim z innymi. Bo jeśli zgodzimy się na inwazję troglodytów, to... w jakim świecie przyjdzie nam żyć?

Myślę, że sprawę tę rzeczywiście warto przemyśleć z samym sobą, ale załatwiać ją musimy wszyscy konsekwentnie i z uporem, nie chowając swej dotkniętej wrażliwości w skorupę izolacji.

EWA DROBNIK

Krysia Rodziewicz w wieku lat 13

Przygotowując się do wybuchu Powstania Krystyna – „Kasia" obcięła warkocze

Polskie rodowody

Z Brusowa w świat (3)

Pracę znalazła w Bibliotece Publicznej w Warszawie, gdzie została kierowniczką wydziału wypożyczeń. Dyrektorem był wówczas Faustyn Czerwijowski, wspaniały bibliotekarz i organizator, człowiek o lewicowych poglądach. Był pierwszym dyrektorem biblioteki od chwili jej założenia w 1912 r. (do 1937, kiedy musiał odejść, właśnie z racji swoich poglądów).

Cała sieć wypożyczalń na terenie Warszawy podlegała pani Rodziewiczowej. W tym okresie właśnie wprowadzano wypożyczalnie z wolnym dostępem do półek. W ciągu jednego roku zorganizowano 5 takich placówek, w których czytelnicy mogli, jak to się mówi, grzebać w książkach. W bibliotece został zorganizowany dział społeczny, który gromadził książki i materiały dotyczące organizacji i ruchów lewicowych w Polsce. Znajdowały się tam pozycje zagrożone ze względów politycznych. Była to zatem książnica ruchu lewicowego, z której korzystali naukowcy, historycy i działacze.

Praca bardzo pochłaniała panią Zofię. Mieszkała z córką na ul. Bałuckiego, Krysia chodziła do szkoły, dom prowadziła ciocia Mecia ściągnięta z Brusowa, w którym żyła jak członek rodziny od lat najmłodszych.

Ale oto nadchodziła nowa wojna! We wrześniu 1939 roku Zofia Rodziewiczowa znów znalazła się w innej roli. Była zresztą do niej przygotowana, skończyła kurs przysposobienia wojskowego kobiet w udzielaniu pierwszej pomocy. Podczas oblężenia Warszawy przypadła jej służba przy sztabie generała Waleriana Czumy, który dowodził obroną stolicy, a następnie – w szpitalu polowym. Kiedy po bohaterskiej obronie Warszawa skapitulowała, pani Zofia powróciła do książek. Czytelnie wkrótce zamknięto z rozkazu okupanta, ale wwewnętrzne funkcjonowanie biblioteki byłoby tematem na odrębną opowieść... Z chwilą zamknięcia wypożyczalń „wyprowadzano" z nich książki i jako „nie oddane" przekazywano do tajnego nauczania.

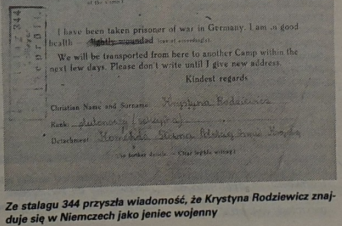

Prisoner of War Camp

I have been taken prisoner of war in Germany. I am in good health

I will be transported from here to another Camp within the next few days. Please don't write until I give new address.

Kindest regards

Christian Name and Surname

Rank

Detachment

Ze stalagu 344 przyszła wiadomość, że Krystyna Rodziewicz znajduje się w Niemczech jako jeniec wojenny

Pani Zofia w grudniu 39 roku znalazła się w konspiracji. Początkowo był to Związek Walki Zbrojnej, a następnie AK. Miała przepustkę do getta, z narażeniem życia pomagała koleżankom bibliotekarkom pochodzenia żydowskiego.

Zwolniona z pracy w bibliotece, przeszła do czynnej służby w Armii Krajowej. Działała w grupie łączniczek przy Komendancie Głównym AK, gen. Grocie-Roweckim. Gdy „Grot" został aresztowany, a funkcję komendanta przejął gen. Bór-Komorowski, powstała 3-osobowa komórka, której zadaniem było odciąć odprawy szefostwa Armii Krajowej od reszty organizacji. Chodziło o utajnienie. Zofia Rodziewiczowa, pseudonim „Zuzanna", była kierowniczką tej komórki, która nosiła kryptonim „Rebeka 2". „Zuzanna" miała stopień kapitana AK.

Pod okiem „Zuzanny" po uszy tkwiącej w konspiracji wyrastała Krystyna, jej córka, czyli „Kasia". Bowiem Krysia Rodziewicz w 1943 roku znalazła się w Szarych Szeregach. Odbyła szkolenie wojskowe w Armii Krajowej, była żołnierzem AK. Nie mogłam się powstrzymać, by nie zadać pytania: czy matka jedynego dziecka nie drżała o jego życie, czy nie starała się swojej córki uchronić? Usłyszałam, że obie były żołnierzami. To wszystko.

Zbiórki Szarych Szeregów odbywały się w mieszkaniu p. Rodziewiczowej na ul. Bałuckiego. Kiedy wybuchło Powstanie matka i córka-łączniczka miały do wykonania różne zadania. Spotkały się tylko jeden jedyny raz... Było to na trasie bardzo niebezpiecznego przejścia, pod obstrzałem. Uściskały się. Musiały się pożegnać, ale wiedziały, że żyją. To było ważne w tych dniach grozy, kiedy miasto Warszawa stało się barykadą, a zamieniało w wielką zbiorową mogiłę...

Prawie siedemnastoletnia Krystyna-„Kasia" odznaczona została podczas Powstania Krzyżem Walecznych. Po kapitulacji wyszła z Warszawy wraz z powstańczym wojskiem do niemieckiej niewoli. Matka pozostała wśród cywilnej ludności i inną przebyła drogę. Opisała ją później szczegółowo w zeszycie, który na okładce ma napis „Notatki z Powstania i powrotu". Zadedykowała je wnukowi i jego synom.

Sekcja Szarych Szeregów. Krysia pierwsza z prawej

Ciąg dalszy w następnym numerze

ANNA GRZYBOWIECKA
Fot. **archiwum**
Repr. **M. Zieleniewska**

„Niech nie będzie trudno w Polszcze o tureckie konie" – wzdycha król Jan III Sobieski, zarządzając 17 lipca 1683 roku mobilizację wojsk Korony i Litwy, które pospieszyć mają z odsieczą stolicy cesarstwa habsburskiego. Chwila była już naprawdę ostatnia, bowiem wyglądało na to, że Wiedeń nękany szturmami, głodem i czerwonką „długo nie pociągnie". A przecież nie była to pierwsza lepsza twierdza – łatwa do zdobycia. Turecki kronikarz Defterdar Sary Mehmed pasza, tak o niej pisał:

„Zamek wspomniany, to niezłomny filar krainy niewiary i warowna forteca ziemi wielobóstwa. Rozum mędrców jest za słaby na to, by określić jego obronność i moc, a gdy trzeba ustalić długość i szerokość murów i bram, zawodzi dowcip uczonych. Głębokie jego fosy budzą zdziwienie na rozległych obszarach, zaś długość rzeki, w jaką zlewają się dachy, wprawia w zdumienie krąg lądów. A i do tego momentu uchronił się on przed złym okiem przeciwności i uniknął ucisku tyrańskiej ręki losu, choć machiny wojenne wciąż pod nim i nad nim zionęły ogniem i miotały pociski. Nie ma wśród całej zamieszkałej przez ludzi ćwierci świata żadnego (zamku), który by się zrównał z tą warownią i był do niej podobny".

Nic zatem dziwnego, że Turcy nie mogli „wziąć jej z marszu".

Skąd Sobieski wziął się pod Wiedniem? Czego tam szukał? Jakie zobowiązania kazały mu rozpocząć kolejną wojenną wyprawę? Na co liczył w razie podonania przeciwnika? Przeciwnika, z którym spotkał się na wojennej ścieżce już kilka razy, ale z którym ciągle jeszcze nie wyrównał rachunków. Przeciwnika, który szerzył śmierć, zniszczenie i trwogę, którego imię wywoływało postrach wśród narodów Europy. Nie bez powodu Porta Ottomańska (taką nazwę nosiło wówczas rozległe imperium tureckie) rozrosła się w drugiej połowie XVII wieku do ogromnych rozmiarów i liczyła blisko 6 milionów kilometrów kwadratowych. Seria wygranych wojen: z Austrią o Siedmiogród, z Polską o Ukrainę naddnieprzańską i twierdzę Kamieniec Podolski, z Rosją o prawobrzeżną Ukrainę oraz z Wenecją o Kretę, powiększyła i tak niemały przecież obszar tureckiego panowania. Lecz wciąż im było mało. Chcieli jeszcze i jeszcze. Byli wielcy, chcieli być jeszcze więksi. Chcieli mieć u stóp sułtańskiego tronu całą chrześcijańską Europę. Kiedy więc Węgrzy (podzieleni na dwie strefy wpływów: austriacką i turecką) w obronie przed tymi pierwszymi i dla podtrzymania powstania wzniecenego przeciw cesarskiej potędze Habsburgów, poprosili o pomoc tych drugich – wielki wezyr Kara Mustafa zarządził gigantyczną wyprawę. W styczniu 1683 roku przed „Bramą Szczęścia" w Adrianopolu zatknięto więc sułtańskie bunczuki* – znak rozpoczętej wojny. Wojska tureckie jęły przygotowywać się do niej niezwykle starannie, radując się z wyprawy, która miała dodać jeszcze większego blasku mocarstwu. *„Po cóż nas karmi padyszach? Od tej bezczynności robią się z nas niezdary. My chcemy wojny, chcemy pójść i odebrać od nieprzyjaciela kufry nasze, co zostały nad Rabą"* – krzyczeli gromko janczary...

W EUROPIE ZAPACHNIAŁO PROCHEM

W cesarstwie Habsburgów zapanowało tymczasem uzasadnione przerażenie. Widmo zbliżającej się tureckiej nawałnicy kazało jak najprędzej sukać sprzymierzeńca wśród również pokrzywdzonych od Turka narodów. Nic tak przecież nie łączy jak wspólny wróg. Sojusznik znalazł się bez trudu – doskonały i blisko. 1 kwietnia w Warszawie między wysłannikiem cesarza Leopolda I i królem Janem III Sobieskim podpisany zostaje traktat, który zobowiązuje obydwie strony do solidarnej walki z Portą Ottomańską. Czy było to właściwe posunięcie ze strony polskiego króla? Jak najbardziej. Turcy winni nam byli ciągle Kamieniec Podolski – twierdzę na wschodniej rubieży Rzeczypospolitej, a ponadto w razie zdobycia przez nich Wiednia, do Krakowa było już tylko przysłowiowe parę kroków. Niebezpieczeństwa nie należało więc lekceważyć. Zwłaszcza, że Kara Mustafa na czele swojej armii podążał nieubłaganie do celu i z końcem czerwca stanął u wrót Wiednia. W jakiej sile? Profesor Jan Wimmer – historyk i doskonały specjalista od odsieczy wiedeńskiej podaje, że armia wielkiego wezyra liczyła ok. 20 tys. janczarów, kawalerii i korpusu technicznego, ok. 70–80 tys. pospolitego ruszenia ze wszystkich prowincji, ok. 20 tys. kontyngentów z Siedmiogrodu, Mołdawii i Wołoszczyzny oraz ok. 20 tys. Tatarów. Razem 150–160 tys. żołnierza, który na trasie swojej marszruty zostawiał zniszczenia, śmierć i pożogę.

Armia cesarska chociaż nie czeka pomocy z założonymi rękami, niewiele może poradzić tureckiej nawałnicy – jest w zdecydowanej mniejszości. 7 lipca, na tydzień przed pojawieniem się wezyra na przedpolach miasta, ucieka z Wiednia cesarz Leopold, dwór i kto może. Zaś głównodowodzący cesarskiej armii – książą Karol Lotaryński, nie mogąc się doczekać transportu amunicji z Linzu – wycofuje się za Dunaj. Twierdza Wiedeń zostaje szczelnie oszaczona przez nieprzyjaciela ze wszystkich stron. 25 tysięcy tureckich namiotów staje na przedpolach miasta. Kara Mustafa wysyła do cesarza list-ultimatum:

„... Jeżeli staniecie się muzułmanami, będziecie ocaleni, Jeżeli stając się nimi poddacie zamek bez walki, to zastosujemy się w nim do przykazania Allacha: maluczkim z was, ani wielmożom bogatym, ani biednym wyrządzona nie będzie żadna krzywda, wszyscy będziecie żyć w bezpieczeństwie i pokoju... Natomiast jeśli się będziecie sprzeciwiać i stawiać opór, wówczas z łaski Allacha Najwyższego zamek Wiedeń zostanie przemożną potęgą padyszacha zdobyty i opanowany, a wtedy ani jednej osoby się nie oszczędzi i nie pożałuje. Wy będziecie wyrżnięci, mienie wasze i zapasy żywności będą złupione, zaś wasze dzieci pójdą w jasyr".

List pozostał bez odpowiedzi, Turcy z pasją przystępują więc do szturmu miasta. Uzbrojona i wspomagana 312 działami 16-tysięczna załoga twierdzy dzielnie odpiera atak za atakiem i niecierpliwie spogląda w stronę Rzeczypospolitej, skąd lada chwila winien nadejść upragniony ratunek...

W TOBIE JEDYNA NADZIEJA...

Miejsce koncentracji wojsk polskich naznaczone zostaje z początkiem sierpnia 1683 roku na podkrakowskich błoniach w Łobzowie. Król wiedząc, że przemarsz wojsk ze wschodnich granic Rzeczypospolitej – z terenów Ukrainy i Litwy zajmie niektórym chorągwiom z racji odległości około dwóch tygodni, ustala tak swoją, krótszą o wiele z Warszawy do Krakowa trasę, by zahaczyć o Częstochowę. Tam, na Jasnej Górze modli się o zwycięstwo, w drodze zaś przez cały czas prowadzi ożywioną korespondencję z Karolem Lotaryńskim – dowódcą obrony Wiednia. Gromadzi informacje o przyszłym polu bitwy, studiuje mapy, przezornie zabrane z bogatej wilanowskiej biblioteki, pyta o aktualną sytuację, liczebność przeciwnika i załogę twierdzy, opracowuje taktykę i plany strategiczne. W Krakowie witany jest owacyjnie, co utwierdza go w słuszności podjętej decyzji. A że zna to miasto doskonale ze swoich studenckich czasów, więc przy okazji odświeża dawne znajomości, odwiedza swojego profesora – rektora jagiellońskiej Alma Mater – Wojciecha Dąbskiego. No i nie omija kościołów. Modli się w kościele Mariackim i na Wawelu, przyjmując tam z rąk nuncjusza papieskiego błogosławieństwo i życzenia zwycięstwa. Fakt ten daje podstawę do późniejszych twierdzeń, że wyprawa Sobieskiego w mniejszym stopniu służyła obronie Rzeczypospolitej, w większym staje się misją religijną w obronie europejskiego chrześcijaństwa...

Wreszcie 15 sierpnia „Lew Lechistanu" dosiada konia i podąża na czele swoich wojsk w kierunku Tarnowskich Gór. Tydzień później, pożegnawszy się z królową, która przez cały czas towarzyszyła mu w podróży, przekracza granicę cesarstwa austriackiego. Odsiecz rozpoczęta!

„Król jest pełen tuszy i znakomitego wyglądu. Miał na sobie niebieski, złotem haftowany żupan, przepasany niebieską wstęgą, na której od strony lewej widniała znakomita, nieocenionej wartości diamentowa gwiazda z samych pereł, takich jak największy groch. Po prawej stronie wisiał wielki, złoty, wijący się łańcuch z przyczepionym małym, złotym puzderkiem. Na głowie jego była piękna szkarłowata sobolowa czapka, lecz król co chwila czapkę tę zdejmował."

Czy tak ubrany jest żołnierz, który wyrusza na długą, wojenną wyprawę? Gdzie orgż, gdzie zbroja, gdzie siermiężne odzienie? *„Dla oraczji ustawicznych i dziwów... co dzień jako do ślubu ubierać się muszę i jak pan młody wyjeżdżać w kawalkadę"* – wyjaśnia król w liście do Maryseńki. Bo trzeba wiedzieć, że przemarszowi wojsk Sobieskiego, które dziennie pokonywały trasę 40–50 kilometrów, na całej trasie towarzyszyła wielka radość i wiara w zwycięstwo. Powitanie na granicy cesarstwa habsburskiego wytęsknionego wybawcy, którego osoba „znaczyła tyle, co cała armia", odbyło się z wielką pompą i honorami.

„Najjaśniejszy Panie i Królu. Okrutni i nikczemni Turcy oblegają stołeczne miasto państwa naszego. Straszny, dotkliwy głód trapi mieszkańców Wiednia, którzy w śmiertelnej trwodze przed Turkami wyglądają Twojego wybawienia. (...) Bieda nam jeżeli wpadniemy w ręce tych odwiecznych katów naszych! I któż nas wybawi z ręki ich, jeżeli nie Ty, Najjaśniejszy Królu i Panie? Pan Bóg Cię posyła, abyś ocalił chrześcijaństwo, nas od śmierci, a Europę od zagłady ratował" – zwróci się z szacunkiem kanclerz państwa – baron Weltschek.

Właśnie w Sobieskim i jego 45-tysięcznej armii, złożonej z jazdy pancernej i lekkiej, w tym przede wszystkim z husarii, dragonii, piechoty i artylerii, widziano ostatnią deskę ratunku. Wiedeń – oblegany przez Turków już drugi miesiąc i odcięty od wszelkiej pomocy, osłabiony, zdziesiątkowany głodem i chorobami (codziennie umierało 50–60 osób), bronił się dosłownie resztkami sił. Chociaż na duchu nie upadał. Turcy też zresztą byli jak gdyby mniej gwałtowni – im również dawały się we znaki choroby i głód, a jedynie czego mieli pod dostatkiem, to... kawy. Ale jak długo można wytrzymać o samej tylko kawie? Zdarzało się więc, że w przerwach między atakami, oblegający i oblegani prowadzili pomiędzy sobą regularny handelek...

Król, odtąd już głównodowodzący sprzymierzonych armii, polskiej, austriackiej, saskiej, bawarskiej i frankońskiej odbył w pierwszych dniach września wojenną naradę (przy okazji przekonał się ze zdumieniem, że mapy są niedokładne), po czym rozdzielił miejsca w szyku bojowym. Ustalono, że natarcie na Wiedeń powinno nastąpić z kierunku zachodniego, niezbędne jest więc przemieszczenie wszystkich wojsk w stronę górzystego masywu Lasu Wiedeńskiego. Oczywiście nie obyło się bez dyskusji, kto, gdzie i jakie zajmie pozycje bojowe – kto na przykład obsadzi zaszczytne prawe skrzydło... Lecz na szczęście czas nie pozwalał na zbyt długie i jałowe gadaniny przy stole. Dwaj pozostali dowódcy – Książe Lotaryński i książę Waldeck podporządkowali się decyzji naczelnego wodza.

Liczebność odsieczowych formacji ustalono na 65 tys. żołnierzy. One też, rankiem 9 września, przemierzając w zwolnionym tempie rozmiękłą od deszczu równinę, wyruszają w stronę Lasu Wiedeńskiego, by zająć wcześniej ustalone pozycje...

O śniadaniu u Kara Mustafy z udziałem polskiego króla przeczytasz w następnym numerze.

TERESA MACISZEWSKA
Fot. **archiwum**

---

* **bunczuk** – drzewce zakończone kulą, ze zwisającym pękiem końskiego włosia – oznaka dowódców w armii tureckiej

Kogo temat zainteresował, zachęcam do sięgnięcia po następujące opracowania:
„Dyariusz wiedeńskiej okazyji", MON
J. Wimmer – „Odsiecz wiedeńska 1683", Interpress
„Wiktoria wiedeńska 1683 rok", Interpress
J. Sobieski – „Listy do Maryseńki", Czytelnik

Poseł austriacki i nuncjusz papieski proszą króla Sobieskiego o interwencję i ratunek. Akwarela z XIX w.

Armia turecka pod wodzą wielkiego wezyra Kara Mustafy szła od zwycięstwa do zwycięstwa, siejąc zniszczenie i popłoch wśród narodów Europy. Dopiero od Wiednia rozpoczął się „zmierzch bogów"...

Wybraliśmy dla Was ze „Sputnika"

NIEZWYKŁE ZNALEZISKO

Ten mamutek przeleżał w wiecznej zmarzlinie około 12 tysięcy lat.

Podczas wydobywania torfu w obwodzie magadańskim (północ Dalekiego Wschodu ZSRR) w dolinie rzeczki Kirgilach-górnicy wykopali unikalne znalezisko. Buldożer wydobył na powierzchnię z wiecznie zamarzniętej ziemi... całkowicie zachowane ciało mamuta, a ściślej mówiąc, mamutka.

Wydarzyło się to 23 czerwca 1977 roku. Świadomie wspominam datę, bowiem takie znaleziska są niezwykle rzadkie i każde z nich należy do sensacji.

Żyjące w epoce naszych przodków mamuty wyginęły już dziesięć tysięcy lat temu. Mamuty, które dawały pożywienie i okrycie człowiekowi pierwotnemu, w niedługim czasie w miarę rozwoju kultury zostały zupełnie wymazane z pamięci następnych pokoleń. Na tyle o nich zapomniano, że człowiek współczesny natrafiając na kości mamuta zdziwiony zadawał sobie pytanie: a cóż to za tajemnicze stworzenie? Rosyjski uczony Wasilij Tatiszczew (1686-1750) pierwszy stwierdził, że jest to zapewne słoń. Uważał on również, że zwierzęta te żyły na Syberii, bo niegdyś panował tam ciepły klimat.

Jednak to ostatnie przypuszczenie okazało się mylne. Obecnie już uczeni potrafią dokładnie wyjaśnić ten problem. Mamut ze swoim wspaniałym owłosieniem doskonale znosił surowy suchy, kontynentalny klimat, który tam panował. A zgubił go nie mróz, ale ociepienie.

Znaleziony nad rzeką Kirgilach mamutek jest unikalnym okazem w historii światowej nauki. Bo udało się zanleźć nie szczątki, nie sam szkielet czy skórę, a całe zwierzę.

Mamutka umieszczono w komorze chłodniczej Północno-Wschodniego Kompleksu Instytutu Naukowo-Badawczego.

Północny „maluch" o długości 115 centymetrów, o wysokości 104 centymetry z 57-centymetrową trąbą jest pokryty rudawo-brunatną sierścią.

– Całkiem prawdopodobne, że mamutek utopił się w niewielkim jeziorze bądź zapadł się w bagno – wyjaśnia dyrektor instytutu Nikołaj Szyło. – Tak szybkie pogrzebanie ciała stworzyło najbardziej sprzyjające warunki, dzięki czemu zachowało się ono w nienaruszonym stanie. Konserwacja w wiecznej zmarzlinie uchroniła je przed rozkładem. W warstwie osadowej, gdzie leżał mamut, znaleźliśmy sporo drobnych gałęzi, szczątków pni wierzby i brzozy, traw i mchu. To pozwoliło nam jeszcze przed dokonaniem specjalnej analizy paleobotanicznej, odtworzyć mapę roślinności na terenach, gdzie żyły mamuty. Według geologiczno-morfologicznych danych udało się nam również ustalić okres wyginięcia, a stało się to pod koniec ostatniej epoki lodowcowej.

ALI KAZICHANOW
Tłumaczyła: **Barbara Nocek**

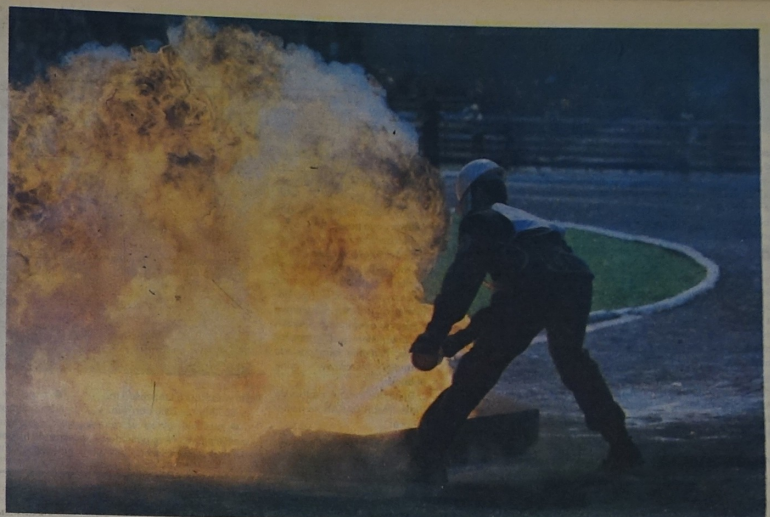

ALARM dla strażaków

Czy wiecie, że w naszym kraju wybucha dziennie 150 pożarów? Pomnóżcie to przez liczbę dni w roku, a wyjdzie zastraszający wynik. Podczas tegorocznego upalnego lata padł swoisty rekord – 1 sierpnia paliło się w 464 miejscach w Polsce. Tylko przez dwa lata (1980–1981) poniosło śmierć w ogniu 700 osób w tym 130 DZIECI. Zdarza się, że w ciągu jednej doby straż pożarna wyjeżdża na sygnale kilkaset razy.

Przerażająca jest ta statystyka, ale gdy ją poznaliśmy, może uważniej popatrzymy wokół siebie. Przecież w bardzo wielu wypadkach sprawcami tych nieszczęść są nasi młodsi koledzy, a nierzadko – my sami. Do sloganów należy takie hasło jak: „Zapałki w rękę dziecka – to pożar" a jednak nic nie straciło ze swojej aktualności. Często, gdy zaniedbamy ostrożności, ostatnią deską ratunku jest STRAŻ POŻARNA. W wielu wypadkach o skuteczności jej działania decyduje szybkie wezwanie. Kiedy w grę wchodzi zagrożenie życia ludzkiego, potrzebna jest odwaga często graniczącą z brawurą, poparta solidnym treningiem.

Właśnie doskonaleniu umiejętności służyły zorganizowane po raz pierwszy w kraju Drużynowe Mistrzostwa Polski w Sporcie Pożarniczym. Odbyły się w Rzeszowie na stadionie CWKS „Resovia". Na starcie stanęły drużyny z 36 województw. Miały one za zadanie osiągnąć jak najlepsze czasy w dwóch konkurencjach:

I sztafecie 4×100 metrów z przeszkodami, gdzie m.in. zawodnik jednej zmiany musiał przy użyciu drabiny słupkowej sforsować domek drewniany o wysokości 2,5 m i długości 5 m.

II ćwiczeniach bojowych – gdzie trzeba było po zmontowaniu sprzętu „podać" dwa strumienie wody do zbiorników przez otwory o średnicy 50 mm!

W sztafecie zwyciężyła ekipa Katowic, zaś w ćwiczeniach bojowych najszybszy okazał się zespół Straży Pożarnej z Opola.

Obyśmy zawsze byli świadkami tylko sportowych zmagań strażaków.

FOTOGRAFOWAŁ: MAREK SZYMAŃSKI

MIŁOŚĆ NAD CEBULKĄ

Pokoik na górce czyli na stryszku. Dookoła drewno sprawiające wrażenie domowego ciepła, przytulności. W małej wnęce biurko założone książkami i papierami. Dużo listów. W wiadrze olbrzymia naręcz polnych kwiatów. Dwa fotele, niski stolik, na talerzyku czekoladki. Za oknem zieleń, cudowne powietrze i szum Cebulki, strumienia, który mieszkańcom domu użycza swej wody. W tym wnętrzu rozmowa za rozmową. Zbiorowo i w cztery oczy. O sprawach grupy i własnych, również tych najintymniejszych. „On mnie kocha, wiem, że mu na mnie zależy. Bardzo. Ale tu spodobał mi się inny chłopak i nie wiem, czy potrafię..." A odpowiedź bez pouczeń i dobrych rad. To po prostu wspólne zastanowienie się nad ważnym problemem. Kto wie, czy nie najważniejszym. Nie tylko w tym wieku. I dlatego Korespondencyjny Klub Czytelników, którego przedstawiciele spotkali się na swym kolejnym obozie letnim w Sopotni Wielkiej koło Żywca, za temat rozmów i dyskusji wybrał w tym roku miłość. A Maria Łopatkowa, patronująca klubowi, gospodyni owego pokoiku na górce, utrzymuje, że bez pokochania poza sobą kogoś lub czegoś życie nie jest warte życia.

KTÓRĘDY DO LUDZI?

Taki tytuł nosiła jedna z książek Marii Łopatkowej, pedagoga (kierunek: wychowanie do szczęścia, jak to kiedyś sama określiła) i dyrektora Państwowego Zespołu Ognisk Wychowawczych w Warszawie. Bronząc młodych i najmłodszych, walczyła już pani Maria z niejednym paragrafem, z niejednym zajwiskiem i z... niejednym młodym człowiekiem, z którym czasami trzeba bić się o niego samego. A jednak mają do niej zaufanie. Tu na obozie, w Ognisku przy ul. Starej, w listach, które codziennie przychodzą pod jej adres. Piszą do niej po przeczytaniu któreś z jej książek, gdzie znajdują takich samych jak oni: młodych zbuntowanych, przegranych, satomotnych, zakompleksionych, przytłoczonych małymi i wielkimi problemami – dla nich najważniejszymi, bo własnymi.

Więc odpowiadała na listy, radziła, załatwiała, pośredniczyła. Gdy listów przybywało, powstał klub. Tu mogą poradzić specjaliści, tu na listowne SOS odpowiadają ci, którzy sami znalazłszy pomoc, chcą teraz pomóc innym. Zresztą poczuć się komuś potrzebnym to często najlepsza pomoc, jakiej można udzielić sobie. Więc pomagają. Innym i sobie. Sobie i innym. Szukają drogi i wskazują ją szukającym.

ICH KLUB

Przed rokiem kandydaci do rady klubu zapisali w kronice swoje credo.

Andrzej: *„Oczekiwałem od klubu tego, że da mi szansę poznać ludzi, którzy mają takie same poglądy jak ja i pragnę razem z nimi (nie zmieniając ich) iść przez życie, uważając, że nie ma ludzi bezwartościowych. Chciałbym, aby inni, z którymi się zetknę w KKC, wierzyli w siebie i nas. Mam nadzieję, że uda nam się wspólnymi siłami przekonać starszych, że młodzież dorosła do tego, aby wziąć w swoje ręce ojczyznę z całymi tego prawami i konsekwencjami. Działając w klubie realizuję siebie i program wszystkich, którzy się do mnie zwrócą o pomoc. Gorąco wierzę, że wspólnie osiągniemy sukces, który nie mógł być zrealizowany przez poszczególne jednostki".*

Monika: *„Przede wszystkim chcę, aby klub istniał. Aby był to klub prawdziwych przyjaciół. Uczyć się na tyle w naszej pracy, żeby ona dawała rezultaty w postaci autentycznej pomocy tym, którzy jej potrzebują. Nie oczekuję, że ktoś będzie mi za to wdzięczny, chociaż w głębi duszy bardzo tego chcę. chciałabym, aby moja praca w KKC była prawdziwym posłannictwem i będę się starała, żeby tak było. Nie wierzę w Boga, ale wierzę w ludzi. W każdym człowieku jest coś z Boga."*

Wieśka: *„Uważam, że klub powinien charakteryzować się ludźmi „dobrej roboty" (nie patosi). Będąc na obozie zobaczyłam, jak wiele jest jeszcze do zrobienia i jakie popełniamy błędy. Za mało w nas jeszcze dobroci i poświęcenia (również nie patos). Jeżeli żądamy od kogoś np. dyscypliny, najpierw powinniśmy sami ją w nas wypracować. Być miłym dla wszystkich, „równym", nie zważając na pozycje, które być może posiadamy, wciągać tych nieśmiałych czy zagubionych, domagać się od klubu i od siebie działalności autentycznej."*

Tego lata w czasie dyskusji pod prowokacyjnym tytułem „Czy istnienie Korespondencyjnego Klubu Czytelników jest konieczne"? osądzili (w dosłownym znaczeniu – z sędzią, prokuratorem i obrońcą) swoją działalność. Jednym wystarczyło, że są sobie potrzebni. Inni oczekują od każdego klubowicza czegoś na kształt posłannictwa, oddania bez reszty. Wszyscy wiedzą, że żeby pomagać skutecznie, trzeba się tego po prostu nauczyć.

STRATEGIA ŻYCIA

To był temat przewodni obozu sprzed roku. W oparciu o długie rozmowy, o wiedzę własną i innych powstał dziesięciopunktowy dokument „Strategia działania". Są jego współautorami, ale nie mają monopolu na stosowanie tych zasad. Dlatego podaję je tu w całości:

- *„Pokochać coś, co może starczyć na całe istnienie.*
- *Być dla drugiego człowieka na tak, zaufanie wycofywać oszczędnie – tylko w przypadku złej woli uparcie trwającej.*
- *Nie dać się opanować żądzy posiadania, bo straci się ważny element szczęścia – radość dawania.*
- *Nie zaglądać zbyt często w siebie, jeśli nie probowaliśmy się sprawdzić poza sobą – w życiu innych ludzi.*
- *Mieć czas i wolę zastanawiania się nad sobą zawsze wtedy, kiedy z naszego powodu cierpi bodaj jeden człowiek.*
- *Nie angażować się w sprawy, których czystości pewni nie jesteśmy.*
- *Nie popełniać w życiu żadnego czynu, który odebrałby nam szacunek dla samego siebie. Zwłaszcza nie stać z boku, gdy na naszych oczach krzywdzi się uczciwego człowieka.*
- *Popełnić w życiu chociaż jeden czyn, który pozostawiłby ślad po nas w ludzkiej wdzięczności.*

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

BMW – PARIS – DAKAR

Orajdzie Paryż-Dakar organizowanym przez redakcję znanej gazety „Paris Match" słyszy się coraz częściej. W naszym kraju między innymi dlatego, że uczestniczą w nim ŁADY-NIVA – radzieckie samochody terenowe powstałe na bazie popularnych pojazdów osobowych ŁADA. Jak dotychczas ich uczestnictwo uwieńczone jest pozytywnymi wynikami, a w roku bieżącym NIVA prowadzona przez francuską załogę uplasowała się w klasyfikacji generalnej rajdu na drugim miejscu tuż za niemieckim MERCEDESEM.

Ponieważ ogromna część trasy rajdu prowadzi po trudnych terenach kontynentu afrykańskiego, w związku z tym w imprezie tej uczestniczą pojazdy o charakterze terenowym. Poza samochodami typu łazik i samochodami osobowymi z napędem na wszystkie koła, biorą również udział samochody ciężarowe oraz motocykle.

Jednego z przedstawicieli tej ostatniej grupy pojazdów mam okazję dziś zaprezentować. Jest nim specjalnie przygotowany na trudy dalekich, terenowych tras BMW. Mówiąc o specjalnym przygotowaniu należy uwzględnić również fakt, że koszt jego wykonania wyniósł około 150000 franków francuskich, a więc mniej więcej tyle ile kosztuje luksusowy osobowy MERCEDES, JAGUAR, BMW lub PORSCHE.

W stosunku do pierwowzoru – seryjnego motocykla zachodnioniemieckiej firmy BMW, zmianie uległo przede wszystkim zawieszenie. Z przodu zastosowano specjalny widelec teleskopowy firmy Maico, którego skok roboczy wynosi 270 mm. Z tyłu wahacz, gdzie jedno z jego ramion stanowi obudowa wału napędowego, resorowany jest sprężyną stalową wewnątrz której znajduje się amortyzator. Ten mechanizm zawieszenia przygotowany został przez firmę Bilstein. Skok roboczy zawieszenia tylnego koła wynosi 240 mm.

Ogumienie o specyficznym terenowym bieżniku jest dziełem firmy Dunlop, i oznaczone zostało jako typ Baja 1000. Przednie koło posiada ogumienie o większej średnicy i rozmiarze 3,25x21, tylne jest mniejsze lecz o większym przekroju, jej wymiar wynosi 400x18.

Silnik – charakterystyczny dla BMW dwucylindrowy o przeciwbieżnym układzie cylindrów, określany jako typ „bokser", zabezpieczony został obramowaniami rurowymi oraz dodatkowym oblachowaniem.

Inny kształt posiada zbiornik paliwa. Jego pojemność została bardzo znacznie powiększona, gdyż mieści w sobie 42 litry paliwa – dla zobrazowania tej wielkości podaję, że zbiornik w naszym „maluchu" ma pojemność 22 litrów. Kanapowe siedzenie obejmuje przestrzeń za zbiornikiem jest jednoosobowe. Przednie koło posiada hamulec tarczowy, tylne bębnowy.

Dane techniczne motocykla BMW-PARIS-DAKAR są następujące:

- silnik dwucylindrowy, chłodzony powietrzem o pojemności 797,5 cm sześc. i mocy 55 KM przy 7000 obr/min.
- zasilanie silnika w mieszankę paliwową za pośrednictwem dwóch gaźników,
- napęd na tylne koła za pośrednictwem wału napędowego, pięcioprzekładniowej skrzyni biegów i przekładni głównej,
- ciężar motocykla 180 kg,
- osiągana prędkość maksymalna 280 km/godz.

ZENON DUTKIEWICZ

Zielonomi (21)

Truskawek nie powinno zabraknąć w żadnym ogródku. Te wdzięczne rośliny owocują już na drugi rok po posadzeniu dając pierwsze wiosenne, pyszne owoce. W ogródku warto przeznaczyć pod truskawki zagonek o powierzchni od 20–40 m². Z powierzchni tej można zebrać od 25 do 50 kg owoców, co starcza dla czteroosobowej rodziny do spożycia na świeżo i na przetwory.

Truskawki rozmnaża się z rozłogów zwanych potocznie wąsami. Jedna roślina matecznа wydaje rocznie od 10 do 30 rozłogów, a na każdym rozłogu po kilka nowych roślin. Truskawki są łatwo porażane przez choroby grzybowe, wirusowe i nicienie. Choroby i szkodniki łatwo się przenoszą z rośliny matecznej na rozłogi. Z tego powodu najlepiej jest sadzić rośliny zakupione w sklepie ogrodniczym, które pochodzą ze specjalnych kontrolowanych plantacji wolnych od chorób. Można pobierać sadzonki z plantacji amatorskich jeśli są one zdrowe i mają nie więcej jak 2–3 lata. Nie warto natomiast zbierać sadzonek z plantacji starych, bo na ogół rośliny nie są zdrowe.

Poziomki rozmnażamy przez siew nasion. Sadzonki można zakupić w sklepie lub wyhodować we własnym zakresie. W tym celu rozgniatamy owoce na gęstym sitku i przemywamy nasiona wodą. Po wysuszeniu wysiewamy nasiona rzutowo do skrzyneczki i przykrywamy cienką warstwą piasku. Nasiona można wysiewać przez całe lato. Skrzynkę z zasiewem najlepiej jest ustawić w ogrodzie w miejscu lekko zacienionym i regularnie podlewać. Gdy siewki mają po parę listków nadają się do wysadzenia na zagon.

Odmiany truskawek dzielimy na owocujące jeden raz (tych najwięcej), owocujące dwa razy w roku i owocujące ciągle od czerwca do jesieni. Z odmian owocujących jeden raz uprawianych powszechnie na plantacjach i w ogródkach najcenniejsze są następujące: Senga Precosa i Ananasowa z Grójca (wczesna), Senga Sengana, Redgauntlet i Talisman (późne). Odmiana Geneve owocuje dwukrotnie, w czerwcu i w drugiej połowie lata. W ogrodach amatorskich uprawiana jest Sonjana – truskawka pnąca, która owocuje przez całe lato. Wydaje ona rozłogi, na których powstają nowe rośliny kwitnące i owocujące.

Wartościowymi odmianami poziomek są Rugia i Baron Solemacher.

Truskawki i poziomki nie mają dużych wymagań. Udają się na każdej glebie, nawet piaszczystej. Bardzo są wdzięczne za nawożenie organiczne, toteż przed sadzeniem warto rozrzucić na zagonku obornik, kompost lub torf. Glebę trzeba także zasilać nawozami mineralnymi, najlepiej mieszanką ogrodniczą Plon, Azofoska lub Fruktus w dawce 40 do 60 dag na 10 m².

Truskawki i poziomki sadzimy na zagonkach szerokości od 120–180 cm. Na zagonku szerokości 120 cm wchodzą 2 rzędy truskawek sadzone 30 cm od brzegu i 60 cm między rzędami, natomiast na zagodnku szerokości 180 cm wejdą 3 rzędy sadzone w takiej samej odległości. W rzędach należy zostawić odstęp 30–50 cm między roślinami. Odpowiednia rozstawa dla poziomek wynosi 30 cm między rzędami i 20 cm w rzędzie.

Truskawki pnące warto posadzić do różnorakich pojemników, które można powiesić w ogrodzie lub postawić nieco wyżej, by rośliny mogły swobodnie zwisać w dół. Jako pojemniki można użyć dużych doniczek lub misek z wypalonej gliny, kubły lub beczki, lecz koniecznie z dziurawym dnem, by odpływał nadmiar wody, stare nieużyteczne już taczki itp. Pojemniki wypełniamy żyzną, ogrodową ziemią i sadzimy jedną lub więcej roślin. Po posadzeniu trzeba rośliny podlewać by się przyjęły, bo zwykle jesień jest sucha.

Truskawki sadzone we wrześniu owocują już w następnym roku.

AUGUSTYN MIKA

Czas sadzić truskawki i poziomki

Tropami natury

SKĄD TE ŚLADY NA LIŚCIACH?

Zbliża się jesień, pora opadania liści. Będziecie je zbierać i cieszyć się kolorami. Być może zauważycie na brzegach niektórych z nich dziwne, koliste, o średnicy około 1 cm wcięcia. Czy wiecie skąd się wzięły? Co zjadło te liście pozostawiając tak równo wycięte formy? A może nie zostały wcale zjedzone?

Sprawców tych uszkodzeń liści możemy obserwować latem. Są to pszczoły samotnice z rodzaju *Megachile*, których jest 22 gatunki. Nie są to „normalne" pszczoły i na pewno nie każdy zobaczywszy tego owada na kwiecie powiedziałby od razu, że jest to pszczoła. Są one małe – 8–16 mm długości i tak ruchliwe, że trudno im się dokładnie przyjrzeć gdy przemieszczają się z kwiatka na kwiatek. Przy odrobinie cierpliwości dostrzeżemy jednak ich najbardziej charakterystyczną cechę – gęsto owłosiony od spodu odwłok. Włoski tworzą tam szczoteczkę, w którą owad wbija nogami zbierany z kwiatów pyłek. Dlatego też często spodnia strona odwłoka ma jaskrawy kolor żółty, czerwony lub fioletowy w zależności od tego z jakich kwiatów pochodzi pyłek. W czasie wciskania pyłku między włoski szczoteczki, odwłok jest śmiesznie wyginany ku górze. Jaki jest jednak związek tej pszczoły żywiącej się nektarem i pyłkiem z owymi powygryzanymi liśćmi? Ano obserwujmy owada dalej. Po uzbieraniu odpowiedniej ilości pyłku leci on w kierunku niewielkiej, stromej ścianki w gliniastym zboczu i znika w norce o średnicy 5–7 mm. Gdybyśmy mogli przeniknąć wzrokiem przez grubą warstwę ziemi, zaobserwowalibyśmy jak na końcu tej norki pszczoła wydrąpuje spomiędzy włosków na brzuchu całą porcję pyłku. Aha! – krzyczymy uradowani z odkrycia: składa sobie tutaj zapasy, podobnie jak pszczoły miodne w komórkach plastra w ulu, a że jest samotnicą, ma swoją własną norkę – spiżarnię. Powoli, powoli – nie cieszmy się tak prędko z wyjaśnienia problemu, zwłaszcza że pozostaje jeszcze sprawa owych pociętych liści. Jak jest naprawdę?

Pszczoły z rodzaju *Megachile* wykorzystują różnego rodzaju norki i szczeliny w ziemi, drzewie lub tp. do składania w nich jaj. Znalazłszy odpowiednią norkę samica wykłada jej ścianki kilku warstwami kawałków liści. Wycina je żuwaczkami pozostawiając charakterystyczne ślady. Następnie składa tam jedno jajo, przynosi zapas pyłku jako pokarm dla rozwijającej się larwy i zasklepia taką komorę lęgową kilkoma okrągłymi kawałkami liści. Po zakończeniu tej pracy wykłada liśćmi ścianki nowej komory, składa następne jajo, przynosi pyłek i znowu zasklepia tworząc kolejną komorę lęgową. Takich komór w norce może być do kilkunastu. Na koniec samica zaczopowuje norkę kilkunastoma warstwami kółek wyciętych z liści i zaczyna zapełniać następną norkę. Ze złożonych jaj wylęgają się larwy. Z nich powstają poczwarki i latem następnego roku wylatują dorosłe owady.

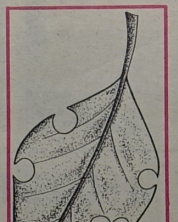

Jeśli chcielibyście hodować te pszczoły, to wystarczy zbudować na polu mały daszek, pod którym urządza się sztuczne norki. Mogą to być pęki patyczków długości 10–20 cm z wydrążonym rdzeniem – norką o średnicy 5–7 mm, pieńki drzew z wywierconymi norkami, lub też ściany ulepione z gliny z wydrążonymi otworami. Mogą też być rurki z kartonu. Życzę powodzenia.

Dziękuję pracownikom Zakładu Botaniki Pszczelarskiej Instytutu Sadownictwa z Puław za umożliwienie wykonania fotografii.

PIOTR JABŁOŃSKI
Fot. i rys. autora

Zielona poczta

Tadeusz Perzyński z Koszalina, ul. Broniewskiego 23/10, kod 75-526 pragnie wymienić nasiona rodzynka brazylijskiego na pestki granatowca, cytrynnika chińskiego lub herbaty.

Tomasz Stelimaszek, 21-307 Ulan-Majorat odstąpi Florovit za nasiona kawy lub arbuza.

Joanna Hajot z Tarnowa, ul. Zawadzkiego 9/5 (kod 33-101) poszukuje torfu wysokiego, brązowego i puszystego do uprawy kawy.

AUGUSTYN MIKA

P.S. **Chętnie pośredniczymy w wymianie nasion i roślin. Nie możemy jednak odpowiadać za rzetelność piszących. Jeśli ktoś nasiona obiecał, a nie może później wysłać powinien przynajmniej odpisać zainteresowanym osobom.**

MIŁOŚĆ NAD CEBULKĄ

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

● *Pamiętać, że samotność jest często ceną, jaką człowiek płaci za swój egoizm.*

● *Wiedzieć, że szczęścia nie można budować na cudzym nieszczęściu; wcześniej czy później runie przygniatając swoich właścicieli.*"

Czy sami na co dzień stosują wszystkie zasady? Pewnie nie. Ale w wieczornych rozmowach odwołują się jednak do swojego dekalogu. A do stosowania zasad droga wiedzie przez uświadomienie ich sobie i przyjęcie za własne.

TEMAT TABU

„Tematem, którego realizacji się podjęliśmy, który stanowi sedno tegorocznego obozu, a przecież nie tylko obozu, ale i życia każdego człowieka dążącego do szczęścia osobistego, a dla nas powiązanego nierozłącznie ze szczęściem innych ludzi, jest MIŁOŚĆ. Uważamy, że miłość jest nie tylko pojęciem, że jest odczuciem, stanem psychicznym, którego osiągnięcie powinno dawać najwięcej satysfakcji, a jednocześnie skłaniać do tego, by przezwyciężyć swój egocentryzm i umieć podzielić się tym, co dobre i wartościowe z innymi". To napisali w kronice na początku tegorocznego obozu. A potem dyskutowali. O miłości i poezji, miłości i seksie, o miłości do Ojczyzny, do Boga, do idei, do drugiej osoby, o patologii miłości, o przerywaniu ciąży. Bez zahamowań i przy częstej różnicy zdań uzupełniali program wychowania obywatelskiego i przysposobienia do życia w rodzinie. Najpierw sami. Potem odwoływali się do autorytetu pani Marii."

Na obozie była ich trzydziestka. Z klubem utrzymuje kontakt czterysta osób. Może ich być więcej, jeśli i Ty do nich napiszesz. Jeśli sam potrzebujesz pomocy, jeśli chcesz pomóc innym. Adres: Korespondencyjny Klub Czytelników; ul. Stara 4, 00-231 Warszawa. Z listami radzę się pospieszyć, bo adres może okazać się nieaktualny. Pytanie, czy klub jest niezbędny, a raczej, jak mieści się w oficjalnych strukturach i paragrafach, zadali sobie również ważni urzędnicy i być może będą chcieli go rozwiązać. dlatego wchodzących do klubowego letniego domu witał napis: „Kochajmy się, nie dajmy się". A jakie za tym szyldem kryją się prawdziwe wartości? „Każdy z nas mniej więcej wie, jaki powinien być człowiek dobry. I każdy do tego jakoś dąży" – usłyszałem od jednego z oborowiczów. „Ja tu znalazłem człowieka, który mnie zrozumiał" – powiedział ktoś inny. I dlatego cieszę się z tego zdania: „Czy klub zostanie rozwiązany, czy nie, będzie istniał". I jeszcze na pewno o nim napiszemy.

JAROSŁAW LISIECKI

Nowe pamiątki po Włodzimierzu Majakowskim

ZSRR (PAP). O nowe pamiątki po Włodzimierzu Majakowskim wzbogaciły się zbiory Muzeum Literackiego w Moskwie. Są to głównie przekazane przez osoby prywatne przedmioty codziennego użytku, m.in. skórzana teczka, neseser i walizka, podróżne sztućce i żelazko, z których korzystał poeta w ostatnich latach swego życia. Uwagę zwraca złote wieczne pióro marki „Parker". Zdaniem pracowników muzeum, nie można odrzucić hipotezy, że nim właśnie pisał Majakowski swe ostatnie wiersze i sztukę „Łaźnia". Publiczności przedmioty te udostępnione zostaną na nowej wystawie przygotowywanej obecnie przez pracowników muzeum z okazji 90 rocznicy urodzin Majakowskiego. **(eb)**

Rdza „chrupie" bezkarnie 5 proc. dochodu narodowego

(PAI). W krajach wysoko rozwiniętych straty z tytułu korozji obliczają fachowcy na 100 i więcej dolarów rocznie na głowę mieszkańca. W ciągu roku korozji ulega ponad 10 proc. zainwestowanej stali. A do niej przecież problem się nie ogranicza. Korozja niszczy wszelkie tworzywa i materiały konstrukcyjne, poczynając od metalu – na betonie i drewnie kończąc. Przyjmuje się więc dziś, zarówno u nas jak i na całym świecie, że straty korozyjne globalnie sięgają rocznie 5 proc. dochodu narodowego. I problem narasta. W rozwijających się gospodarkach rośnie liczba obiektów, które podlegają niszczącemu działaniu korozji, a także, co istotniejsze, zwiększa się stale agresywność zanieczyszczonego środowiska naturalnego, co przyspiesza proces niszczenia. Niemałą rolę odgrywają także wszechobecna chemizacja, większy udział instalacji metalowych, rosnący udział procesów wysokotemperaturowych w przemyśle oraz postępująca elektryfikacja transportu. **(jo)**

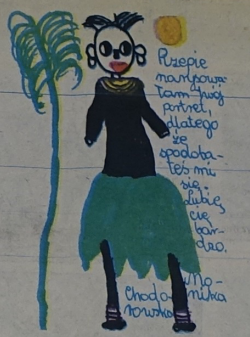

Tak mnie narysowała Monika Chodorowska, którą zapisuję do naszego klubu. Twarz mam trochę bladą, ale to od nadmiaru słońca!

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Przyjmuję do Rzepklubu Sabinę Reks za wesoły list, który do mnie napisała. Oto fragment tego listu:

Słoneczne i wesołe, lasem pachnące,
ptakami śpiewające pozdrowienia
przesyła Sabina – młoda jeszcze dziewczyna,
lecz do oporu pełna jest humoru,
choć się jej zdarzają chwile,
kiedy myśli: nie przeżyję!
Wad ma wiele, mało zalet,
ale się tym nie przejmuje wcale!
Pragnie życzyć wszystkim dokoła,
by mieli takiego jak ona fioła!

*

Jak co roku o tej porze witamy tych, którzy po raz pierwszy wzięli do ręki „Świat Młodych". Moment powitania przedstawiony jest na rysunku poniżej.

Do zobaczenia!

Wasz Rzep

RZEPKLUB

Zapisuję do klubu szperaczy: Mirellę Helsztajn i Sławka Kubata, którzy wyszperali zamieszczone obok żarty rysunkowe. Przypominam: żeby być członkiem Rzepklubu – trzeba wykazać swe poczucie humoru. Czasem wystarczy wesoły list. Bardzo lubię wesołe listy!

— Proszę mi podać tuzin pomidorów! Mogą być nadgnite...

stołu i posadził koło siebie, żeby się popisać przed cudzoziemcem i gościnnością, i sukcesami synów, i własną swadą. Zamówił jedzenie dla całej kompanii. Nie bacząc na zakazy Proroka, pił sporo, co zwiększyło jeszcze jego elokwencję i życzliwość dla bliźnich. Chętnie przysłał na to, by dowieźć chłopców do Ghardai, zwłaszcza gdy Daniel wyjaśnił, po co jadą do Algieru. O zapłacie nie chciał nawet mówić, twierdził, że to honor dla niego zabrać ze sobą cudzoziemca z dalekiej północy, prosił tylko, żeby uczłował z nim aż do rana, gdyż doprawdy kłaść się nie warto, skoro nazajutrz przed świtem wyruszą w drogę; dość czasu zmitrężyli dzisiaj z racji tych popisów, kupcy czekają na nich w Ghardai, trzeba będzie te sto kilometrów zrobić w niespełna dwa dni, tak by przed zachodem słońca oddać towar i pozwolić sobie wreszcie na zasłużony odpoczynek.

Daniel przyglądał się Alemu z zachwytem, był to bowiem mimo podeszłego wieku mężczyzna postawny, wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, rysach grubych, lecz wyrazistych, o przenikliwym spojrzeniu zmrużonych oczu, człowiek, jak się zdawało, twardy i przebiegły, dumny i uparty, zdolny do wariackich czynów. Głos miał dźwięczny, donośny, śmiech trochę dziki, bez miejskiej powściągliwości i umiaru. Żył, jak chciał, robił, co mu się podobało.

Chłopak zdawał sobie sprawę, że jego podziw trochę Alego bawi, trochę mu pochlebia, w każdym razie ubarwia jeszcze i tak miły wieczór. Stary pozwolił Dżamalowi najeść się do syta, lecz później odesłał go zaraz na podwórze, kazał spać, potraktował jak niedorostka; Daniel odniósł jednak wrażenie, iż Ali po prostu nie znosi przy sobie chorych, kalek, starców. Cenił krzepę, jurność, męstwo i zaradność, na pewno nie gardził fortelem, bez którego kupiectwo jest jak potrawa bez soli. Prowadził nieraz interesy z Europejczykami, ale ich młodzieży nie znał, a był jej ciekaw. Wypytywał, jakim cudem Daniel się tutaj znalazł, czego naprawdę szukał; próbował przy tym dociec, czy dobroczynność chłopca wynika z potrzeby serca, czy z innych, utajonych i niejasnych pobudek. Obserwował go zarazem bacznie i życzliwie, krytycznie i z sympatią, jak rasowego źrebca, zastanawiając się, co z niego wyrośnie.

Mile ujęty tym zainteresowaniem Daniel nie odczuwał zmęczenia, gawędził z ożywieniem, opowiadał o swoich podróżach do Anglii i Szkocji, cieszące się, ilekroć zdołał rozchmurzyć pomarszczone czoło starego, pobudzić go do śmiechu, w którym odsłaniał mocne, żółtawe zęby.

Synowie Alego, Ibrahim i Hassan, siedzieli po drugiej stronie stołu wśród swoich rówieśników, ale choć byli bohaterami dnia, choć zdobyli uznanie na popisach jeździeckich, tutaj musieli milczeć i przysłuchiwać się tylko gawędzeniu ojca z przygodnie poznanym chłopakiem. Parokrotnie próbowali podjąć głośną rozmowę po arabsku, lecz stary przywołał ich do porządku, walnął pięścią w stół i burknął coś groźnie. Popsuło im to wieczór, Daniel zdawał sobie z tego sprawę, nie potrafił jednak zmienić sytuacji.

Przesiedzieli całą noc przy stole i dopiero o brzasku Ali odszedł z synami na modlitwę, Daniel zaś wybiegł na podwórze, by ochłodzić pod kranem zaczadziałą od niewyspania głowę.

Dżamal, który wywczasował się na wiązce daktylowych liści, współczuł mu szczerze, dawno już gotów do drogi. Beduini szybko powiązali wielbłądy i nim słońce wzeszło, wyruszyli na pustynię.

Ali jechał konno, tak samo jak jego synowie, i to na czele karawany. W pewnej odległości za nim szły w potrójnym szyku wielbłądy. Danielowi zdawało się początkowo, że podróż w siodle będzie całkiem wygodna, lecz po kilku godzinach miał jej serdecznie dosyć. Dżamalowi wypadło jechać gdzieś na szarym końcu. Daniel między dwoma Beduinami, którzy nie znali francuskiego, czuł się jakby pod strażą. Byli niewyspani, opryskliwi, jeśli nawet rozumieli jego proste pytania, zbywali je półsłówkami.

Podczas pierwszego postoju chłopcy usiedli razem i wyciągnęli zapasy jedzenia. Podszedł do nich starszy z synów Alego, Ibrahim, i zapytał obcesowo, kiedy mu wręczą zapłatę za podróż. Daniel powołał się na rozmowę z jego ojcem, który przecież obiecał zawieźć ich za darmo. Beduin pokręcił głową z niedowierzaniem i stwierdził, że chłopiec na pewno źle zrozumiał słowa Alego. Za podróż należy się zapłata. Wymienił niebotyczną sumę. Dżamal z oburzenia przeszedł na arabski, miotał się, gestykulował, wykrzykiwał, powoływał Allacha na świadka, domagał się rozmowy z Alim.

Cdn.

TAJEMNICZY LABIRYNT (3)

STRESZCZENIE: Papilio z ojcem przybyli na planetę, na której chcą się osiedlić. Tubylcy proszą o ich uwolnienie od krwawego potwora – Orsigata, który nęka mieszkańców. Mieszka on w tajemniczym labiryncie. Vad i Papilio udają się tam, a Gekko pozostaje u wejścia, trzymając koniec sznurka...

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315565).
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Opracowanie graficzne: **Inna Bójska**
Opracowanie techniczne: **Wiesława Chmielewska**
Korekta: **Barbara Wasilewska**
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3492/G M-95

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

USMIECH NUMERU

NA DALEKIEJ afrykańskiej prowincji ostrzegają gościa w hotelu: – Gdyby w nocy po pana pokoju zaczęły biegać szczury, prosimy się nie przejmować, zaraz pojawią się węże i zeżrą te gryzonie...

•

– TATUSIU, zrobiłem sobie własnoręcznie skrzypce!
– Zuch jesteś! A skąd wziąłeś struny?
– Wyciągnąłem je z naszego pianina...

Oto teraz emir zjawił się sam, nie przyzywany, tyle, że całkiem niepodobny do tego z rodzinnej legendy, wytwornego uczonego, rycerskiego wodza i obrońcy uciśnionych chrześcijan. Emir z algierskiego filmu przypominał raczej Ahmeda, cudownie jeździł konno i sieką bez pardonu niewiernych. Spahisi spadali śmiesznie z koni, byli odrażający. Ludność Tlemsen przyjmowała emira jak następcę Proroka, oddając mu cześć niemal boską. Tłumy szły za nim skandując po arabsku hasło całkiem współczesne: „Algieria jest naszą ojczyzną, arabski jest naszym językiem, islam jest naszą religią".

Nikt nie mógłby przypuścić, że ten piękny wojownik był przede wszystkim teologiem i myślicielem, autorem dzieła filozoficznego, które jakiś francuski orientalista przetłumaczył i wydał w Paryżu. Że właśnie dzięki filozofii znalazł emir tyle wewnętrznej siły zarówno w okresach największego powodzenia, jak w czasie niewoli i wygnania. Prawda o nim była więc podzielona, obraz jego niepełny po obu stronach Morza Śródziemnego. A może – pomyślał Daniel – prawda jest ideałem, do którego się dąży, lecz którego osiągnąć nie można, zwłaszcza że ludzie ją naginają do swoich doraźnych potrzeb czy przekonań?

Dżamal był zachwycony filmem. Wierzył święcie, że wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak to widział na ekranie. Męstwo, mądrość, uroda emira podnosiła we własnym mniemaniu biednego chłopaka, któremu groziła ślepota. Zwycięstwa nad Francuzami budziły w nim dumę narodową. Nawet na Daniela patrzył jakby z góry, był przecież obcym, niewiernym, nie mógł oczekiwać zbawienia.

ROZDZIAŁ 17

Po filmie zdążyli jeszcze na popisy jeździeckie, a raczej na ich zakończenie, uświetnione występami najlepszych. Wśród widzów prym wodził Ali, stryj Ahmeda; obaj jego synowie zaszczytnie się wyróżnili i mieli podobno reprezentować Algierię na Ogólnoafrykańskim Festiwalu Kultury. Co prawda wyposażenie mieli niezwyczajne. Stary dał im piękne, świetnie ułożone konie, siwki o delikatnych pęcinach, zwinne, szybkie, niepłochliwe, czujne na każdy znak jeźdźca, do tego zaś broń starą, z dziada pradziada przechowywaną wśród rodzinnych skarbów i budzącą tutaj powszechną zazdrość.

– Za te konie – mówił Dżamal – mógłby kupić sobie dom z ogrodem w Biskrze czy Tuggurcie. Ale na co mu taki dom, skoro całe życie spędził na pustyni, pod dachem spać nie lubi, duszno mu, ciasno i smrodliwie. Co innego wstąpić czasem do zajazdu, nie po to, żeby w nim nocować, lecz bawić się przez całą noc, uraczyć swoich i obcych, bo gest ma szeroki, potrafi całego barana zamówić i kapelę nająć tylko dla siebie.

Z tego, co Dżamal opowiadał, widać było, że nasłuchał się od Ahmeda opowieści o starym, że go podziwiał, choć stryj majątku się nie dorobił, przeciwnie, z roku na rok mniej wielbłądów wiązał w karawanę, mniej towarów przewoził na południe, mniej potrzebował ludzi, ale zaklinał się głośno, że zwyczajów nie zmieni, że do śmierci będzie przemierzał pustynne szlaki.

Otoczony tłumem, zwycięski wracał do zajazdu, gdzie witano go uniżenie, jak szeika. Dżamal z trudem się do niego dociskał. Ali, w wybornym humorze, mile go powitał, że zaś sam nieźle władał francuskim, wdał się w pogawędkę z Danielem, którego zaprosił do

Dokończenie na str. 7